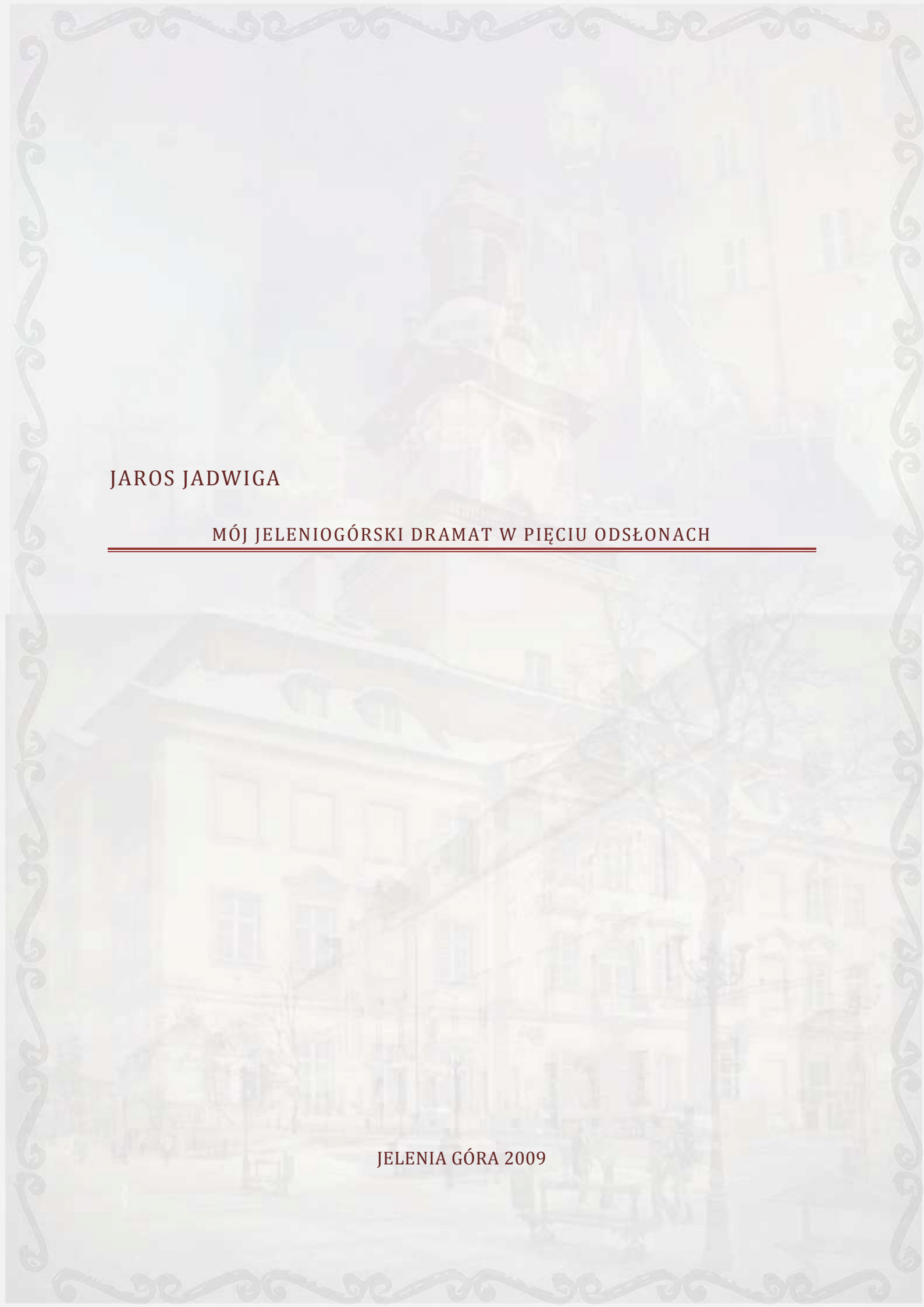




JAROS JADWIGA

MÓJ JELENIOGÓRSKI DRAMAT W PIĘCIU ODSŁONACH

JELENIA GÓRA 2009

1. DO CHROMCA WOŁAMI NIECHĄCY

Mam już 62 lata. Całe moje życie związane jest z Jelenią Górą i najbliższą okolicą, choć przypadek zrządził, że przyszedłam na świat tutaj, a nie na przykład nad Balatonem. Kiedy wojna się skończyła, moi rodzice mieszkający w Krakowie chcieli za wszelką cenę wyjechać na południe, na przykład uciec na Węgry. Bali się tej nadchodzącej wraz ze zwycięskim krajem rad nowej rzeczywistości. Wyjazd na południe okazał się poza granicami ich możliwości, więc Ojciec, Baltazar wraz z żoną Laurencją i synem Rudolfem postanowił wyjechać na Śląsk w poszukiwaniu szczęścia i pracy. Przypadkiem spotkał znajomego, który wybierał się na Ziemię Odzyskane i zachwalał warunki życia, jakie tam można osiągnąć. I rodzice wraz z transportem osadników dotarł do Jeleniej Góry, a stąd – wozem zaprzęgniętym w woły dojechał do Chromca, podziwiając po drodze, co było możliwe przy tempie tego zaprzęgu, podgórskie krajobrazy. W mieście był specjalny punkt, informujący, gdzie są możliwości zamieszkania i widać moi Rodzice w ten sposób zostali skierowani do tej zapadłej wsi pod Grzbietem Kamienickim w gminie Kamienica. Dziś siedziba gminy nosi nazwę Stara Kamienica, w odróżnieniu od Małej i Nowej, a Chromiec wówczas nazywał się Ludwikowice i jeszcze pełen Niemców. Była to wieś pod wielkim lasem, oddzielającym ją od Szklarskiej Poręby, przecięta potokiem, z salą widowiskową, sklepem, własną piekarnią, a nawet basenem pod gołym niebem, z ośrodkiem kolonijnym i zasobnymi domami, do których latem zjeżdżali na wywczasy Niemcy z Drezna a nawet Berlina i wspomagali budżet mieszkańców, którym trudno było gospodarować na kamienistych, położonych na stokach polach.

Rodzice objęli gospodarkę, a na rolnictwie nie bardzo się znali, zatem wszystkiego musieli się dopiero nauczyć, a zanim się nauczyli, popełnili wiele błędów. W białym domu na stoku zjawiłam się na świecie w 1947 roku. Byłam chowana jak jedynaczka, bo brat Rudek był o wiele starszy. We wsi była czteroklasowa szkoła, a do wyższych klas chodziły dzieci do Starej Kamienicy, a potem do Kopańca, gdzie powstała siedmioklasowa szkoła, bo wcześniej do Starej kamienicy chodziły dzieci i z Kopańca, i Chromca, i Antonowa, i nawet Kwieciszowic, Barcinka i Rybnicy. Oczywiście chodziły pieszo po kilka kilometrów, bo nikt wówczas nie myślałby je czymś dowozić. Chłopcy jeździli na poniemieckich rowerach, reszta czasami czepiała się furmanek lub sań. Jak

ktoś miał sprawę wyruszał na piechotę do stacji kolejowej w Starej Kamienicy i jechał do Jeleniej Góry. Potem były już regularne kursy PKS do miasta. Mój brat Rudek po podstawówce poszedł do liceum i taką drogę pokonywał codziennie. Był bardzo zdolny, ale na studia nie poszedł, bo został powołany do wojska, a potem się ożenił i tak wyszło. Z czasem do Jeleniej Góry dojeżdżali nie tylko licealiści, ale także robotnicy do "Wiskozy", „Narzędziówki”, „Fampy”, „Labofarmy”, a potem i urzędnicy, wypuszczeni ze szkół. Mnie sił, a rodzicom pieniędzy wystarczyło na zapewnienie mi nauki w zawodówce. Te codzienne dojazdy nie były na moje zdrowie. I zamknę ten okres krótko: praca, w sobotę zabawa w sali ludowej udekorowanej bibułkami, z orkiestrą doborową (nieraz cygańską) i bufetem obficie zaopatrzonym, czasami kino objazdowej Starej Kamienicy. 2.Krótkie szczęście na Placu Ratuszowym i nieutulona żałoba.

Młodość moja trwała krótko, do poznania Józefa. Kiedy piszę te wspomnienia, mija drugi dzień od Mszy świętej odprawionej w 40 rocznicę Jego śmierci, a w 72 rocznicę Jego urodzin. Zmarł w swoje 32 urodziny we wrocławskiej klinice.

Na razie jednak jest pracownikiem obecnej „Jelfy”, starającym się o moją rękę. Pochodzi z przyzwoitej rodziny, ma dobrą opinię, jest przystojny i inteligentny. Rodzice cieszą się, że będę szczęśliwa w tym związku. Pobieramy się w kościele parafialnym w maju 1966 roku. Niebawem Mąż zmienia pracę, zostaje redaktorem technicznym „Nowin Jeleniogórskich”. Lubi swoje zajęcie, choć nieraz się denerwuje. Naczelny wymaga doskonałego przygotowania druku, zdjęcia mają być najwyższej, jakości. Dbą o dobrą opinię swojego tygodnika w prasowym świecie. A „Nowiny „ słyną z bardzo dobrej, jakości zdjęć. Więc nieraz kilka razy krąży między drukarnią a domem Naczelnego, aż ten uzna odbitkę za zadowalającą.. Tygodnik organizuje różne akcje, wybiera człowieka roku, prowadzi akcję „My Jeleniogórzanie”, w czasie, której w klubie „Kwadrat” odbywają się spotkania z ciekawymi ludźmi. Patronuje przeglądowi piosenki amatorskiej w „Iskrze”. Co tydzień czytelnicy zapraszani są na wycieczkę. A jej trasę przygotowuje legendarny działacz turystyczny, matematyk, Teofil Ligenza vel Ozimek. Wiem to wszystko od męża i z gazety, którą przynosi do domu, co czwartek, bo wtedy ukazywała się dwa dni później, niż teraz.

Dostajemy jednopokojowe mieszkanie na trzecim piętrze narożnej kamieniczki na Placu Ratuszowym. Ja opuszczam Rodziców i moją wieś. Nic nam do szczęścia nie

brakuje. Rok po ślubie rodzi się pierworodny Krzysztof, a kiedy ma roczek, u Jego taty rozpoznana zostaje ziarnica złośliwa. Wszystko przestaje mnie cieszyć. Radiolog dr Józef Staniczek, który ogląda zdjęcia, nie kryje niepokoju. To groźna postać nowotworu. Mój Mąż niknie w oczach, dr Zbigniew Domosławski stara się o miejsce w klinice, redaktor naczelny Nowin Jeleniogórskich Andrzej Lesiewski wspiera jego starania. Pierwsze leczenie daje remisję. Choroba się cofa. Mąż wraca do pracy. Ja nie szukam zatrudnienia, zajmuje się synkiem. Widzimy, jak co sobotę pary wchodzą do ratusza, by zaślubić się cywilnie, wita je i żegna cygańska orkiestra. Widzimy ludzi na zakupach, w coraz dłuższych kolejkach. Chodzimy do parku. Z naszej kamieniczki Mąż ma bliźniętka do drukarni, nieco dalej do redakcji przy ul. Okrzei. W każdej wolnej chwili jeździ do Małej Kamienicy pomóc swojej Matce w gospodarstwie. Choroba wraca, a ja oczekuję drugiego dziecka. Rodzi się Elżbieta, a Mąż jedzie do kliniki. Kiedy umiera, mam 22 lata, a moje dzieci: 2 lata i 4 miesiące oraz 10 miesięcy. Kiedy stoimy przy trumnie w kościele, gdzie braliśmy ślub, mdleję raz po raz.

Zaczynam wdowie życie od poszukiwania pracy. Niełatwe zadanie, bez doświadczenia, bez wykształcenia, z dwójką małych dzieci. Zostaję zatrudniona, jako portierka. Zaczynam prace od nocnego dyżuru. Mam 22 lata, jestem wysoka, ciemnowłosa, mówią, że ładna. Nim dobiegnie końca pierwszy dyżur, już mam za sobą kilka ostrych odpraw, udzielanych mężczyznom, którzy mnie zaczepiają. Wracam z płaczem. Nie, to nie dla mnie, jak ja się wybronię przed tymi poszukiwaczami łatwych podbojów? Ale mnie nie interesuje żaden podbój. Ja mam, dla kogo żyć, a pamięć jest pełna wspomnień o tym krótkim, ale niezwykłym szczęściu u boku człowieka, który mnie bardzo kochał.

Od czasu do czasu przyjeżdża z Warszawy mój Teść. Wojna rozdzieliła rodziców Męża, więc Matka żyła na wsi, a On w Warszawie, jako kontroler Zjednoczenia Przemysłu Precyzyjnego wyjeżdżał w teren na inspekcję zakładów, które produkowały coś dla armii. W Jeleniej Górze i okolicy były to Zakłady Optyczne oraz myślakowicki Polam. Wiem z jego opowiadań, że czasami bywał zapraszany do jakiejś restauracji w którymś wczasowisku, częstowany kolacyjkami i alkoholem, a wiedzieli, że za kołnierz nie wylewał. Chcieli go usposobić przychylnie, a On dawał się częstować i ugaszczać, ani na chwilę nie zapominając, w jakim celu przyjechał i tak dowiadywał się niejednej rzeczy, która nie powinna była ujrzeć światła dziennego. Naturalnie nie opowiadał mi

szczegółów, ale kiedyś opowiedział, jak zainteresowała go budowa ośrodka wypoczynkowego Rakownica. Zajrzał do dokumentów wielu zakładów i powiedział, że gdyby tak podsumować stal, cement i inne materiały, jakie fabryki wywiozły z adnotacją "na budowę Rakownicy", okazałoby się, że kilka takich obiektów z tych materiałów można byłoby zbudować. A nawet nie wiem, czy sprawdzał, jacy prominentni ludzie z miasta w tym czasie rozpoczęli i zakończyli budowy swoich domów. Bardzo szybko okazało się, że ile prawdy jest w ludowym porzekadle, że nieszczęścia chodzą parami. Również sześć miesięcy od śmierci mojego Męża nagle straciłam Ojca, który doznał wylewu. Nie cierpiał, a odszedł, powalony głęboką troską. Myślę, że nie zdołał podźwignąć nieszczęścia, które mnie spotkało. Dzisiaj powiedziałabym, że jeszcze miał wiele życia przed sobą, był przecież zaledwie po sześćdziesiątce. Mama przekazała gospodarstwo na Skarb Państwa, otrzymała niewielką, ale wystarczającą na Jej skromne potrzeby rentę rolniczą i przeprowadziła się do mnie. Stała się moim sumieniem, podporą, była niestrudzoną pomocą w wychowaniu dzieci i prowadzeniu domu, kiedy ja pracowałam. Jej siła brała się z wielkiej wiary. Jak kiedyś mnie, tak teraz moje dzieci uczyła pacierza, prowadziła do kościoła, pomagała mi przygotować uroczystości pierwszokomunijne, a potem Bierzmowanie. Kupowała książki religijne i w czasach, kiedy zaczęła panoszyć się zaraza narkomanii, nikotynizmu, kiedy dzieci zaczynały coraz wcześniej sięgać po alkohol, Ela i Krzysiu potrafili oprzeć się tym pokusom.

2. WINIARNIA NA OTARCIE ŁEZ.

Pracowałam. Nie miałam daleko do Rozlewni Win Importowanych. Bardzo starałam się nie zaniedbywać swoich obowiązków. Nasz zakład opuszczały dobre importowane wina. Poznałam ich smaki i aromaty. W tej pracy rodziło się jednak niebezpieczeństwo uzależnienia, zwłaszcza ludziom w mojej sytuacji, których życie ograniczało się do obowiązków w domu i pracy. Nie wiem, jak pracownicy to robili, ale wiem, że potrafili wynosić wino i sprzedawać znajomym, dorabiając w ten sposób do niewysokich pensji. Ja na swoje dzieci dostawałam rentę po ojcu i przy dużej dyscyplinie finansowej mogłam ustrzec się kradzieży. Wtedy jednak wynoszenie czegokolwiek z zakładu nie uznawano za kradzież. Wiem od Męża, że nawet Nowiny, zanim ukazały się w kiosku, już były w rękach czytelników. Mnie jednak Rodzice wpoili wielką prawdę, że

kradzione nie tuczy, a grzech pozostaje grzechem, nawet jak jest inaczej nazywany. Nieraz myślę, że tą pracę w winiarni zdarzyła mi się, podarowana przez los na otarcie łez. Poznałam tutaj znajomych, mogłam poprawić samopoczucie kilkoma łykami dobrego wina.

W karnawale chodziłam z dziećmi na zabawy gwiazdkowe. Każde dziecko pracownika dostawało paczkę: czekoladę, ciasteczka, jabłka i obowiązkowo pomarańczkę, a wiadomo było, że przed Bożym Narodzeniem w telewizji radośnie informowali, że przypłynął statek z cytrusami i na pewno zjawią się w porę w sklepach. A miasto za moim oknem zmieniało się. Coraz częściej widziałam w wąskich uliczkach narkomanów, coraz częściej nie mogliśmy zasnąć, kiedy w rynku odbywały się różne imprezy, ale akurat z naszych okien niewiele było widać ani muzyków, ani aktorów ze Spotkań Teatrów Ulicznych. Moje dzieci chodziły do podstawówki, potem zaczęły uczyć się dalej, choć z niejednakowym skutkiem. Było nam we czworo coraz ciasniej w jednym pokoju, przez który przechodziło się do kuchni. Praca w winiarni zaczęła się łączyć z ryzykiem, że nie będę umiała rozwiązywać problemów bez lampki wina. Wtedy zdarzyły się dwie ważne sprawy.

3. Z ZABOBRZA DO JELFY.

Dzięki ówczesnej Szefowej Wydziału Zatrudnienia Franciszce Brzezińskiej zmieniałam pracę, a dzięki ówczesnemu prezydentowi miasta Kazimierzowi Żurawskiemu dostaliśmy mieszkanie na Zabobrze. To chyba wymodliła moja Mama Laurencja, tych dobrych ludzi na mojej drodze, którzy nie zlekceważyli wdowich problemów. Bez względu na czasy, bez względu na ustrój, zawsze zdarzają się ludzie podli i ludzie szlachetni. Jeleniogórskie Zakłady Farmaceutyczne były nowoczesnym zakładem. Pracowałam w ampułkarni. Lubiłam to, co robię. Była dobra atmosfera. Z domu mogłam dojść pieszo do pracy. Latem nawet cała nasz czwórka wyjechała do Dziwnówka na zakładowe wczasy.

Los jednak w zanadrzu trzymał jeszcze dla mnie gorzkie niespodzianki. Zachorowała moja wspaniała mama, znalazłam się w szpitalu i ja, zachorował mój Syn, podczas kiedy Córka wiodła życie pomyślne.

Kiedy dopadły nas choroby, nie mieliśmy na łąpówki, koniaki, prezenty, a przecież zapewniano nam opiekę nie gorszą, niż tym z samochodami i willami. Będę zawsze wspominać z wdzięcznością doktora Pawlikowskiego, doktora Kazimierza Pichlaka, bo to są lekarze z powołania, ratujący wszystkich bez wyjątku.

Kiedy Mama leżała w szpitalu i wszyscy myśleli, że pożegnamy Ja w wieku 85 lat, lekarze Ją uratowali i jeszcze radowaliśmy się Jej obecnością kolejne 10 lat.

A potem w kraju zrobiła się przemiana, w moim mieście też. Nagle na chodnikach, w centrum, pojawiły się stoliki, na stolikach rzeczy, które oglądaliśmy tylko w Peweksie. Peweks to sklep, gdzie można było kupić różności za dolary. Jeden był w rynku, drugi naprzeciwko schodków wyprowadzających z Placu Ratuszowego w stronę dworca PKS. A teraz za złotówki można kupić, co dusza zapragnie. Ni z tego ni z owego stoliki zaczęły ustępować miejsca sklepom, sklepikom, już nie PSS i MHD albo GS, ale absolutnie prywatnym, co się po prostu w głowie nie mieściło, bo w Jeleniej Górze było kupców tyle, ile na palcach jednej ręki można było zliczyć. To samo z aptekami i przychodniami. Nie dość, że uruchomiono i pobudowano nowe, to jeszcze można sobie wybierać taką przychodnię, jaką się chce, a w niej takiego lekarza, którego się ceni.

A w mojej Jelfie zaistniały niesamowite rzeczy. Pracownicy dostali akcje, za akcje pieniądze. Nawet ja dostałam swoją „dolę”.

Moja rodzinka powiększyła się. Elżbieta skończyła studia, wyszła za mąż, dostała pracę w rodzinnym mieście mojego Zięcia. Wesele było w kawiarni MUZA, bo Pani Dyrektor ODK Maria Lach pozwoliła urządzić tam uroczystość. Ja dopiero, co wyszła ze szpitala. A ślub dawał ksiądz Tadeusz Dańko tak pięknie, jakby nasza Elżbieta była księżniczką z Monako. Imienniczka Panny Młodej aktorka Elżbieta Kosecka z Teatru Norwida zaśpiewała ślicznie Ave Maryja, a słuchali tego wszystkiego i oglądali polski ślub aktorzy zagraniczni z Festiwalu Teatrów Ulicznych, którzy towarzyszyli artystce w kościele św. Wojciecha na Zabobrze.

Mam się zmieścić na 10 stronach, a jeszcze tyle zostało do powiedzenia. Na przykład o tym, że kiedy wychodziłam za mąż, jeszcze jeździły w Jeleniej Górze tramwaje, a teraz autobusy, Niektóre wożą nawet za darmo, ale tylko tych, którzy jada sobie po zakupy do wielkich marketów, o których się nawet nam nie śniło.

Chciałam dopracować w Jelfie wieku emerytalnego, ale dostałam strasznego uczulenia. Mdlałam przy automacie, który obsługiwałam. Dostawałam pięknej wysypki. Dusiałam się w ataku astmy. Lekarze zaczęli kierować mnie na rentę, sugerując, że mam prawo do renty zawodowej, bo uczulenie wyzwała jakiś składnik medykamentu, przy którym pracuję. Wysłali mnie do pewnego szpitala, który bada związek choroby z warunkami pracy. Stoję tam na korytarzu, a jakiś pacjent pyta: Ile pani ze sobą przywiozła? Pytam – czego przywiozłam? No, pieniędzy. Odpowiadam, że mam tyle, co na pociąg i drobne na jakieś picie. A on na to, że jestem ciemna frajerka, bo To się bierze pożyczkę, daje, komu trzeba, a potem spłaca się z odszkodowania i renty zawodowej.

Nie dostałam renty zawodowej. Jestem na uczciwie wypracowanej emeryturze. Kilka lat temu zmieniliśmy mieszkanie, a kilka tygodni temu wykupiliśmy je na własność.

4. SPOKÓJ NA SWOIM.

Zastanawiam się, pisząc te słowa, jak to jest? Czy da się prześledzić krok po kroku, jak rozgrywały się dramaty mojego życia? Czy da się wymienić wszystkich dobrych ludzi, którzy podali mi pomocną dłoń? Czy wystarczy jedno wspomnienie, żeby opowiedzieć, jak wspaniała, po prostu święta była moja Matka? Wiem, że moi Rodzice tam po drugiej stronie cieszą się, że to małe mieszkanko z balkonem już na zawsze będzie nasze. Ma dużo uroku, do parku też stąd blisko, i do naszego parafialnego kościoła również. A przecież nasz kościół to niezwykły kościół, który obchodzi 300 rocznicę budowy, tylko Sanktuarium Krzyża Świętego, z jego relikwiami, ze wspaniałymi organami, gdzie dziękuję za każdy tydzień przeżyty w spokoju. Lubię też pójść do kościoła świętych Erazma i Pankracego, bo to była moja pierwsza jeleniogórska parafia, gdzie przeżyłam swoje krótkie szczęście i moją głęboką żalobę.

Moja Córka tęskni za Jelenią Górą, bo to Jej rodzinne miasto, gdzie przeżyła trudne, półsierotce dzieciństwo i młodość, ale teraz, kiedy mieszkanko jest nasze, pocieszam Ją, że nie prędyż to później któreś z jej dzieci zawita w tym mieście już, jako czwarte – po babci Laurencji, po mnie i po Mamie - pokolenie ukorzenione w mieście, z którym trudno i z którym nie warto się rozstawać.